

W

tamej epoce ulica Nou de la Rambla lśniła wśród ciemności dzielnicy Raval tysiącem latarń i neonów. Kabarety, dancingi i inne, trudne do nazwania lokale, rozpychały się po obu stronach chodnika w swoich otwartych do samego świtu zatęchłych norach, oferujących kuracje na choroby weneryczne i pomoc w pozbyciu się niechcianej ciąży. Osobnicy rozmaitego pokroju, począwszy od zamożnych elegancików, a na marynarzach z zacumowanych w porcie statków skończywszy, mieszały się w nich z ekstrawaganckimi postaciami, jakie spotkać można tylko w nocy. Od ulicy odchodziły mroczne wilgotne zaułki, skrywające nieprzebrane bogactwo burdeli, które lata swojej świetności miały już za sobą.

El Ensueño zajmował górne piętro budynku, w którym mieścił się kabaret: wielkie plakaty reklamowały występ tancerki odzianej w skąpą i przezroczystą tunikę odsłaniającą wszystkie wdzięki. Tancerka trzymała w ramionach czarnego węża, którego rozdwojony język całował jej usta.

„Eva Montenegro i tango śmierci – głosiły ozdobne litery plakatu. – Królowa nocy w sześciu niepowtarzalnych spektaklach. Gościnnie wystąpi sam Mesmer: niezrównany czytelnik ludzkich umysłów odsłoni wasze najskrytsze sekrety”.

Obok wejścia do lokalu znalazłem niewielkie drzwi, za którymi dostrzegłem prowadzące w górę schody i pomalowane na czerwono ściany. Wszedłem na górę i stanąłem przed drzwiami z litego dębu i odlaną z brązu kołatką w kształcie nimfy, której łono zasłaniała skromnie czterolistna koniczynka. Zapukałem parę razy i czekałem, starając się unikać własnego odbicia w osmalonym lustrze, zajmującym większą część ściany. Rozważałem w duchu ewentualność ucieczki, kiedy drzwi otworzyły się i stanęła w nich, uśmiechając się do mnie przyjaźnie, kobieta w średnim wieku, o włosach całkiem siwych, zebranych starannie w kok.

– Zapewne mam przyjemność z panem Davidem Martinem.

Dotychczas nikt nigdy nie nazwał mnie „panem”.

– We własnej osobie – odparłem, nieco zbity z tropu.

– Niech pan pozwoli za mną.

Poszedłem za nią niedługim korytarzem, prowadzącym do okrągłej sali o ścianach obitych czerwonym aksamitem. Lampy rzucały słabe światło, z sufitu w kształcie kopuły z emaliowanego szkła zwisał kryształowy pająk, a pod nim, na mahoniowym stole, stał gramofon, z którego płynęły operowe arie.

– Napije się pan czegoś, młodzieńcze?

– Poproszę o wodę.

Siwowłosa dama uśmiechnęła się, nieodmiennie spokojna i ujmująco uprzejma.

– Być może miałby pan ochotę na kieliszek szampana lub likieru? Albo wytrawne sherry?

Moje podniebienie nie zaznało rozkoszy innych niż woda z kranu, wzruszyłem więc ramionami.

– Proszę wybrać za mnie.

Dama skinęła głową, nie przestając się uśmiechać, i wskazała na jeden z ustawionych w sali foteli.

– Zechce pan spocząć, Chloé za chwilę do pana przyjdzie.

Niewiele brakowało, a byłbym się udławił.

– Chłóć?

Siwowłosa dama, nic sobie nie robiąc z mojej konsternacji, zniknęła za drzwiami, których zarys majaczył za zasłoną z czarnych koralików, i zostawiła mnie sam na sam z moimi nerwami i niewysłowionymi pragnieniami. Zacząłem chodzić po sali tam i z powrotem, by pozbyć się drżenia, które zawładnęło moim ciałem. Z wyjątkiem łagodnej muzyki i bicia serca rozsadzającego mi skronie, nie było słycać niczego – panowała grobowa cisza. Za niebieskimi zasłonami kryły się wejścia do sześciu korytarzy, każdy z nich kończył się białymi, podwójnymi drzwiami, wszystkie były zamknięte. Osunąłem się na jeden z tych arcywygodnych i kusicielskich foteli, godnych bankierskich, generalskich i książęcych tyłków. Po chwili wróciła moja siwowłosa znajoma z kieliszkiem szampana na srebrnej tacy. Podziękowałem i zobaczyłem, jak znów znika za tymi samymi drzwiami. Wychyliłem kieliszek jednym haustem i rozluźniłem kołnierzyk. Zacząłem podejrzewać, że cała ta inscenizacja była tylko okrutnym żartem Vidala, który zapragnął zabawić się moim kosztem. Wówczas zauważyłem postać zbliżającą się do mnie jednym z korytarzy. Wyglądała jak dziewczynka i rzeczywiście była dzieckiem. Głowę miała spuszczoną, tak że nie widziałem jej twarzy. Podniosłem się z fotela.

Dziewczynka ukloniła się grzecznie i skinęła, bym poszedł za nią. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jedna z jej dłoni jest protezą. Poprowadziła mnie do końca korytarza, wiszącym na szyi kluczem otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka. W pokoju panował półmrok. Postąpiłem kilka kroków do przodu, czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności. Drzwi zamknęły się za mną, a kiedy się odwróciłem, dziewczynki już nie było w pokoju. Usłyszałem, jak

przekręca klucz w zamku, i zrozumiałem, że zostałem zamknięty. Powoli kształty przedmiotów zaczęły wynurzać się z ciemności. Pokój obity był od podłogi do sufitu czarnym materiałem. W kącie majaczyły jakieś dziwne akcesoria. Chociaż nie wiedziałem, do czego służą, budziły we mnie uczucia stanowiące mieszaninę podniecenia i strachu. Metalowa konstrukcja wezgłowania wielkiego okrągłego łóża przypominała drobną sieć pajęczą. Po obu jej stronach umocowano świeczniki, w których płonęły dwie czarne gromnice, wypełniając pomieszczenie zapachem wosku, jaki spotyka się w kaplicach. Z boku łóżka znajdowała się żaluzja w falujące wzory. Przebiegł mnie dreszcz. Pomieszczenie było kubek w kubek podobne do sypialni, jaką wyobraziłem sobie dla swojej niewymownej wampirzycy, Chloé, w *Tajemnicach Barcelony*. Cała ta historia przestała mi się podobać. Już miałem wyważyć drzwi, kiedy spostrzegłem, że nie jestem sam. Zamarłem w bezruchu. Zza żaluzji wyłaniał się zarys postaci. Dostrzegłem dwoje błyszczących oczu, blade palce zakończone długimi, polakierowanymi na czarno paznokciami. Przełknąłem ślinę.

– Chloé? – wymamrotałem.

To była ona. Moja Chloé. Operowa i niepowtarzalna femme fatale moich opowiadań stała teraz przede mną w samej bieliźnie. Miała najbłedszą skórę, jaką kiedykolwiek widziałem, i czarne, lśniące włosy opadające na czoło równo przystrzyżoną grzywką. Jej usta umalowane były krwistoczerwoną szminką, a obwódki czarnych cieni otaczały zielone oczy. Była zwinna jak kot; wydawało się, że jej ciało, ściśnięte gorsetem, który mienił się niczym srebrne łuski, kpi sobie z grawitacji. Na wysmukłej, niekończącej się szyi wisiała wstążka z czerwonego aksamitu, a na niej odwrócony krucyfik. Patrzyłem, jak powoli zbliża się do mnie, i dech zaparło mi w piersiach, moje oczy ześlizgnęły się w dół, po arcycudownych nogach odzianych w jedwabne pończochy, które kosztowały pewnie więcej, niż byłem zdolny zarobić przez cały rok, aż do pantofelków o szpiczastych czubkach, przewiązanych

w kostkach jedwabnymi wstążkami. W całym moim życiu nie dane mi było ujrzeć nic tak pięknego i tak przerażającego.

Dałem się zaprowadzić dziewczynie do łóżka, gdzie padłem dosłownie na tyłek. Blask świec muskał profil jej ciała. Moje usta znalazły się na wysokości jej nagiego brzucha. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, pocałowałem ją w okolicy pępka i otarłem się policzkiem o jej skórę. Już wtedy nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani jak się nazywam. Uklękła przede mną i ujęła moją prawą dłoń. Delikatnie, niczym kot, wylizała mi po kolei palce, i spojrzawszy mi głęboko w oczy zaczęła mnie rozbierać. Kiedy chciałem jej pomóc, uśmiechnęła się i odsunęła moje dłonie.

– Psssst!

Skończyła, pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w usta.

– Teraz ty. Rozbierz mnie. Powoli. Bardzo powoli.

Pojąłem wtedy, że przeżyłem swoje chorowite i żalodne dzieciństwo wyłącznie dla tej chwili. Zacząłem rozbierać ją bez pośpiechu. Wreszcie została tylko w aksamitnej wstążce na szyi i w czarnych pończochach, których wspomnianiem niejeden nieszczęśnik taki jak ja mógłby się żywić ponad sto lat.

– Pieść mnie – szepnęła mi do ucha. – Zabaw się ze mną.

Całowałem i pieściłem jej skórę, centymetr po centymetrze, jakbym chciał zapamiętać ją na całe życie. Nie spieszyła się, każde moje dotknięcie przyjmowała cichutkim i prowadzącym mnie dalej jękiem. Po jakimś czasie przewróciła mnie na plecy i położyła się na mnie. Moje ciało żarzyło się tysiącem iskier. Palcami przebiegłem linię jej cudownych pleców. Tuż przed moimi oczami widziałem jej nieprzeniknione spojrzenie. Poczulem, że muszę coś powiedzieć.

– Nazywam się...

– Pssssst!

Zanim zdołałem powiedzieć jakieś kolejne głupstwo, Chloé zamknęła moje wargi swoimi i sprawiła, że na najbliższą godzinę zniknąłem z tego świata. Świadoma mojej nieporadności, ale udając, że jej nie dostrzega, wyprzedzała każdy mój ruch i kierowała moimi dłońmi, bez pośpiechu i wstydu. W jej oczach nie było znużenia ani obojętności. Pozwalała mi na wszystko z bezgraniczną cierpliwością i czułością, co sprawiło, że zapomniałem, jak tu w ogóle trafiłem. Tej nocy, przez godzinę zaledwie, nauczyłem się na pamięć każdej linijki jej skóry, tak jak inni uczą się litanii i wierszy. Gdy niemal brakowało mi tchu, położyłem głowę na jej piersi, ona zaś zaczęła gładzić mi włosy w całkowitej ciszy, dopóki nie zasnąłem w oplatających mnie ramionach, trzymając rękę między jej udami.

Kiedy się obudziłem, pokój tonął w półmroku, a Chloé nie było. Moje dłonie nie dotykały już jej skóry. Dotykały za to wizytówki wydrukowanej na tym samym białym pergaminie co koperta, w której przysłano mi zaproszenie. Pod emblematem anioła można było przeczytać:

ANDREAS CORELLI

Éditeur

Éditions de la Lumière

Boulevard St.-Germain, 69. Paris

Na odwrocie skreślone zostało parę słów.

Drogi Davidzie! Życie składa się z wielkich nadziei. Kiedy gotów Pan będzie zrealizować swoje, proszę się ze mną skontaktować. Będę czekał. Pański przyjaciel i czytelnik,

A.C.

Zebrałem rzeczy z podłogi i ubrałem się. Drzwi do pokoju były otwarte. Udałem się do salonu z milczącym już gramofonem. Nie było śladu ani dziewczynki, ani siwowłosej kobiety. Panowała absolutna cisza. W miarę zbliżania się do wyjścia narastało we mnie wrażenie, że światła za moimi plecami powoli gasną i ciemność zalewa korytarze i pokoje. Rad nierad, schodziłem po schodach przywracających mnie światu. Po wyjściu na ulicę skierowałem się w stronę Ramblas, zostawiając za sobą wrzawę klienteli nocnych lokali. Znad portu nadciągała lekka i ciepła mgła, zabarwiana przez blask okien hotelu Oriente zakurzoną żółcią, w której sylwetki przechodniów rozwiewały się jak dym. Przyspieszyłem kroku, podczas gdy zapach Chloé ulatniał się z moich myśli. I zacząłem się zastanawiać, czy usta Cristiny Sagnier, córki szofera, smakują tak samo.

Człowiek nie wie, czym jest pragnienie, dopóki się nie napije. Po trzech dniach, które upłynęły od mojej wizyty w El Ensueño, paliła mnie każda myśl o skórze Chloé. Nie mówiąc nic nikomu, a zwłaszcza Vidalowi, postanowiłem wziąć swoje więcej niż skromne oszczędności i wrócić tam z nadzieją, że wystarczą, by kupić choćby i najkrótszą chwilę w jej ramionach. Mijała północ, gdy stanąłem między czerwonymi ścianami schodów prowadzących do El Ensueño. Zacząłem powoli wchodzić w ciemności, oddalając się od hałaśliwego skupiska kabaretów, barów i innych, trudnych do określenia lokali, jakie wyrosły na ulicy Nou de la Rambla w latach wielkiej wojny w Europie. Drżące, padające od ulicy światło rysowało stopnie pod moimi nogami. Dotarwszy na piętro, po omacku zacząłem szukać kołatki. Moje palce natrafiły na ciężki metalowy pierścień, ale kiedy go uniosłem, drzwi skrzypnęły i zrozumiałem, że są otwarte. Lekko je pchnąłem. Niczym niezmaccona cisza musnęła mi twarz. Przede mną rozpościerał się niebieskawo półmrok. Zdezorientowany, odważyłem się zrobić parę kroków. Odblask ulicznych świateł migotał w powietrzu, wydobywając z mroku ulotne obrazy nagich ścian i wypaczonej podłogi. Dotarłem do sali, która w mej pamięci jawiła się wykładana aksamitem i pełna eleganckich mebli. Teraz ziała pustką. Zalegający na podłodze kurz mienił się niczym piasek w pobrzasku żarówek oświetlających

uliczne plakaty. Szedłem po nim, zostawiając za sobą ślady w popiele. Nigdzie nie było ani gramofonu, ani foteli, ani obrazów. Z popękanego sufitu wystawały szerniałe belki. Płaty farby zwisały ze ścian niczym liany. Stałem w korytarzu prowadzącym do pokoju, w którym spotkałem Chloé. Pokonałem ów mroczny tunel, dochodząc do drzwi, które nie były już białe. W miejscu gałki była dziura, jakby wyrwany został cały zamek. Wszedłem do pokoju.

Sypialnia Chloé była wielką czarną norą o zwężonych ścianach, pozbawioną dużej części dachu. Mogłem dostrzec kłęby ciemnych chmur płynących po niebie i księżyc, otaczający srebrną aureolą metalowy szkielet łóżka. Za plecami usłyszałem skrzypienie podłogi. Natychmiast odwróciłem się, zdając sobie sprawę, że nie jestem sam. W tle korytarza odcinała się sylwetka mężczyzny. Nie mogłem dojrzeć jego twarzy, ale byłem pewny, że mnie obserwuje. Stał przez chwilę, nieruchomy jak pająk, dopóki nie ruszyłem w jego stronę. W mgnieniu oka cofnął się w mrok i kiedy dotarłem do salonu, niktogo już tam nie było. Snop światła z żarówek okalających afisz po drugiej stronie ulicy na sekundę zalał salę, wydobywając z mroku kupę gruzu przy ścianie. Podeszedłem tam i klęknąłem przy strawionych przez ogień zgliszczach. Coś z nich wystawało. Palce. Zacząłem odgarniać popiół, spod którego ukazał się zarys dłoni. Złapałem i pociągnąłem, i zobaczyłem, że jest odcięta w przegubie. Rozpoznałem ją, choć dopiero teraz mogłem stwierdzić, że ręka dziewczynki nie była z drewna, tylko z porcelany. Rzuciłem ją z powrotem na stertę gruzu i odszedłem.

Zastanawiałem się, czy rzeczywiście kogokolwiek przed chwilą widziałem, bo na zakurzonej podłodze nie było innych śladów poza moimi. Znalazłszy się na ulicy, stanąłem przy budynku, by, całkiem zdezorientowany, przyjrzeć się oknom na pierwszym piętrze. Obok przechodzili rozbawieni ludzie, nie zwracając uwagi na moją osobę. Usiłowałem wypatrzeć pośród przechodniów niepokojącą postać.

Wiedziałem, że gdzieś tu jest, być może nawet całkiem blisko, i obserwuje mnie. Po jakimś czasie przeszedłem na drugą stronę ulicy i wcisnąłem się do wąziutkiej i zatłoczonej kawiarni. Zdołałem jakoś przedostać się do baru.

– Co podać? – zapytał barman na mój widok.

Miałem sucho w ustach.

– Piwo – odparłem bez namysłu.

Gdy zajął się nalewaniem piwa, przechyliłem się ku niemu.

– Orientuje się pan może, czy ten lokal naprzeciwnko, El Ensueño, działa jeszcze, czy nie?

Barman postawił kufel i spojrzał na mnie jak na wiejskiego głupka.

– Nie działa, i to już od piętnastu lat – fuknął.

– Żartuje pan.

– Nie, nie żartuję. Jak się spalił, tak już nie odpalił. Zamknięty na amen. Szanowny pan życzy sobie coś jeszcze?

Pokręciłem głową.

– Cztery centymy.

Zapłaciłem i nie tknąwszy piwa, wyszedłem.

Następnego dnia stawiłem się w redakcji znacznie wcześniej niż zazwyczaj, by od razu udać się do mieszczącego się w piwnicy archiwum. Z pomocą archiwisty Matiasa i kierując się słowami barmana, przystąpiłem do sprawdzania stron tytułowych „La Voz de la Industria” sprzed piętnastu lat. Po czterdziestu minutach natrafiłem wreszcie na informację, właściwie notkę. Pożar miał miejsce o świcie w dniu Bożego Ciała 1903 roku. Sześć osób zginęło w płomieniach: jeden klient, cztery zatrudnione w lokalu dziewczęta i usługująca dziewczynka. Zarówno policja, jak i straż pożarna uznały, iż przyczyną pożaru było zaproszenie ognia od lampy naftowej, aczkolwiek proboszcz pobliskiej parafii skłonny był dopatrywać się czynników boskich i interwencji Ducha Świętego.

Wróciwszy do pensjonatu, wyciągnąłem się na łóżku, usiłując zapnąć w sen. Wyjąłem z kieszeni wizytówkę owego dziwnego dobroczyńcy, którą znalazłem w swojej dłoni, gdy obudziłem się w łóżku Chloé, i raz jeszcze przeczytałem w półmroku skreślone na odwrocie słowa. „Wielkie nadzieje”.